

**Niemcy użytkowali groby katyńskie jako kopalnię dla swej akcji propagandowo-politycznej, której usiłowali nadać jak najszerszy zasięg.**

Stosunki polsko – sowieckie już uprzednio tak dalece uległy zepsuciu, iż wymagały tylko wbicia ostatniego klina pomiędzy obydwie strony. Chodziło też Niemcom o urobienie własnej opinii w Rzeszy, bardziej jeszcze o propagandę pośród podbitych narodów Europy, a zwłaszcza Europy Wschodniej, którym wstrząsające fotosy z masakry katyńskiej miały w sposób plastyczny przedstawić los, jaki je czeka pod panowaniem bolszewickim. – Ale wygrywanie propagandowe niesłychanej zbrodni miało też na celu wstrząśnięcie sumieniem świata demokratycznego, który się połączył w sojuszu z bolszewikami dla wspólnej walki z Hitlerem.

Celem pobocznym było też przelicytowanie i usunięcie na plan drugi własnych, hitlerowskich zbrodni, które z niesłabnącą energią reklamowane były przez prasę i propagandę Zjednoczonych Narodów.

Akcja niemiecka częściowo odniosła skutek. Poza tym zerwanie stosunków polsko-radzieckich i pierwszy w ten sposób rozłam w obozie aliantów zapisała na swe dobro, w rubryce: sukces.

W drugiej połowie kwietnia krytycznego 1943 roku mieszkałem w dalszym ciągu w swym małym, wiejskim domku w odległości 12 kilometrów od Wilna i do miasta przychodziłem piechotą i rzadko. Za czasów okupacji sowieckiej zmieniłem swój zawód dziennikarza i literata na bardziej odpowiadający warunkom – zostałem mianowicie furmanem ciężarowego wozu. Za czasów okupacji niemieckiej siedziałem cicho na wsi i nie byłem niepokoiony, jakkolwiek władze niemieckie nie mogły oczywiście nie wiedzieć o mojej egzystencji.

Na jakiś tydzień przed Wielkanocą sprzedawałem na rynku w Wilnie palto letnie i tu spotkałem dawnego swego kolegę(...)

Było ciepło. Wiosna(...) Właśnie przeżuwano wrażenia i komentarze do straszliwej, nowej zbrodni, odkrytej pod Smoleńskiem. – Poza tym wlokło się życie przygnębiające, głodne, biedne, apatyczne(...)

- Od wczoraj telefonuje Klau. Werner Klau, szef biura prasowego przy Gebietskommissariat Wilna-Stadt, dopytuje, czy ktoś z pracowników nie zna przypadkiem twego adresu. Chcą cię zaprosić do Katynia. (...)

Dopiero w drugiej połowie maja 1943 roku wlecze nas poprzez powietrze pudło starej, niemieckiej „JU 88”, samolotu o typie przestarzałym. Leci dwóch dziennikarzy portugalskich, jeden dziennikarz szwedzki. Z Warszawy Niemcy wyekspediowali ekipę dziesięciu robotników fabrycznych, ażeby się przekonali na miejscu i opowiedzieli rodakom. To są ich chwytne propagandowe, stosowane już od dłuższego czasu. – Towarzyszy nam oficer Wehrmachtu, będący łącznikiem z Ministerstwem Spraw Zagranicznych (b. attaché niemiecki w Tokio). Gdy lądujemy za Dnieprem, termometr wskazuje zaledwie 3 stopnie powyżej zera, pada drobny deszczyk (...)

Plan sytuacyjny jest taki: Na zachód od Smoleńska prowadzi linia kolejowa w kierunku Witebska do stacji Gniezdowo. Mniej więcej równolegle biegnie szosa. Do tej stacji przywożeni byli jeńcy polscy w roku 1940, na wiosnę, to nie ulega już żadnej wątpliwości i przez nikogo nie jest kwestionowane. W Gniezdowie ich wyładowywano. Szosa biegnie dalej przez Katyń. Z Gniezdowa do Katynia około 4 kilometry. Po bokach wilgotne laski, wyręby, na których wyrosły już pojedyncze brzoźki, olszyna. Wzrok mija je obojętnie, ślizgając się po mokrych badyłach, gałęziach, strzelistych prętach jakichś krzaków. – I tylko myśl, pobudzana wyobraźnią, kołuje po tej szosie do wtóru obracających się opon: ”Tędy, tędy, tędy jechali ci ludzie, w taką samą czy podobną wiosnę. Co myśleli? Co szeptali?” (...)

W chwili, gdy ja przybyłem do Katynia, rozkopano już wszystkie siedem grobów. Niektóre były

opróżnione. Inne zastałem jeszcze w trakcie prac ekshumacyjnych, ale raczej na ukończeniu. Rzeczą pierwszą, która się rzuciła w oczy, było zaśmiecenie lasu wokół dołów już pustych. Skąd zaśmiecenie to pochodziło, wyjaśniło się niebawem i jednocześnie naprowadziło mnie na najważniejsze odkrycie.

Ażeby uplastyczyć jego doniosłość, należy pokrótce przedstawić metodę prac ekshumacyjnych. Ogólne kierownictwo spoczywało w rękach niemieckich oczywiście. Ale bezpośrednio roboty wykonywane były przez ekipę Polskiego Czerwonego Krzyża, na czele której stał dr Wodziński z Krakowa. Do swej dyspozycji miał robotników, zarówno wolnego najmu spośród mieszkańców okolicznych, jak też przydzielonych jeńców sowieckich. Trupy wydobywane z dołów śmierci układano szeregami na ziemi. Z szeregów brano po jednym, celem dokonania oględzin i zrewidowania. Mundury były przeważnie w dobrym stanie, rozpoznawało się nawet gatunek materiału, jedynie odbarwione. Wszystkie części skórzane, w tej liczbie buty, robiły na pierwszy rzut oka wrażenie gumowych. Ponieważ z reguły każde zwłoki sklejone były niejako sokiem trupim, lepkim, strasznym, cuchnącym, więc o rozpinaniu kieszeni, ani tym bardziej ściąganiu butów, mowy być nie mogło. Operacja odbywała się tedy w ten sposób, że specjali robotnicy, w obecności dyżurnego delegata Polskiego Czerwonego Krzyża, rozcinali nożami kieszenie i cholewy butów, bo w tych ostatnich też znajdowano nieraz ukryte różne przedmioty. Wszystko znalezione wydostawano na światło dzienne. Wszystko co mogło stanowić wartość dowodową, pamiątkę dla rodziny, wskazówkę przy identyfikacji, lub wartość materialną (dokumenty osobiste, legitymacje, pamiątniki, notatki, listy, fotografie, medaliki, książeczki do nabożeństwa, kwity, medale, order, pierścionki itd.) składane było do specjalnie na ten cel przygotowanych kopert, zaopatrzonych kolejnym numerem. Także numer ewidencyjny przyczepiano następnie do zwłok, które, o ile nie wykazywały specjalnego interesu dla ekspertyzy medycznej, odkładano zaraz do innego szeregu. Po czym grzebano je w nowych, wspólnych mogiłach.

Wprawdzie zarówno Komisja Ekspertów Międzynarodowych, jak późniejsze sprawozdanie sekretarza Geheime Feldpolizei, Vossa i dr Buhtza słusznie zwracają uwagę na daty znalezionych przy zwłokach gazet, nie uwzględniły ich jednak w tym stopniu, na jaki zasługują, z punktu widzenia interesu dowodowego i rozwiązania zagadki:

## **Kiedy dokonano mordu? – a więc: kto?**

Zachowano kilka gazet, jako eksponaty, resztę rzucano w las. Ale w większości wypadków nie były to całe gazety. W większości wypadków były to części gazet. Papier gazetowy stanowi dla człowieka biednego, jakim jest jeńiec, materiał nieraz niezbędny dla licznych celów. Tak więc zastępuje brak portfela, portmonetki i w ogóle służy do opakowania przeróżnych przedmiotów, które się nosi w kieszeni, worku czy plecaku; zastępuje bibułkę do palenia, wkładki do butów, nawet ciepłe skarpetki itd. Otóż tych strzępów gazetowych, obok całkowitych lub części gazet, rozrzuconych po lesie, jako rzeczy bezwartościowych, była – masa.

Pochylony, przerzucałem kawałkiem patyka w tych strzępach przesiąkniętych trupim odorem. I ja też nie od razu zwróciłem należyłą uwagę na skrawki gazet. Dopiero, gdy następnie udałem się na miejsce właściwej rewizji zwłok, dokonywanej przez dr Wodzińskiego, gdy raz i drugi z kieszeni trupa wydobyto przy mnie gazetę, trzeci i piąty raz i każda z datą: marzec – kwiecień 1940 roku – pojąłem siłę przekonywującą tego faktu. – Głos Radziecki, sowiecka gazeta po polsku, przewijała się szczególnie często pośród innych pism w języku rosyjskim. Głos Radziecki! Dziś mogę potwierdzić zeznania niektórych jeńców, którzy konstatowali, że obozy jenieckie w r. 1940 specjalnie tą gazetą były obsyłane... Daty zaś nie budziły wątpliwości. Tu zaznaczyć muszę, że wszelki druk zachował się w grobach stosunkowo najlepiej. Niektóre z gazet wykazywały doskonałą wyrazistość, przebijając mniej więcej tak wyraźnie, jak przebijają litery drukowane poprzez normalnie zatłuszczony papier.

Wróciłem, wciąż z chustką przytkniętą do nosa, wyrzygałem się dyskretnie za pniem grubej sosny i

znów grzebać począłem patykiem w strzępach cuchnących papierów, porozrzucanych po lesie. Tam, gdzie skrawki gazet nie wykazywały daty, odczytywałem ustępy depeesz, opis zdarzeń, z których wyraźnie wynikało, że dotyczą pierwszych miesięcy roku 1940. Nie późniejszych.

A więc jednak nie ulega wątpliwości: zbrodni mogli dokonać tylko bolszewicy.

Przy zwłokach w Katyniu znaleziono około 3300 listów i kartek pocztowych, otrzymanych przez jeńców od rodzin w kraju, a kilka napisanych i nie wysłanych – do kraju. Ani jeden z tych listów, ani jedna z tych kartek nie posiada daty późniejszej niż kwiecień 1940 r. Potwierdzają to rodziny w kraju, których korespondencja uległa raptownemu przerwaniu w tym czasie. Bolszewicy mogliby odpowiedzieć, że dla jakichś przyczyn zakazali jeńcom korespondować. Tego nie twierdzą, bo brak im ku temu uzasadnienia. Ale mogliby tak twierdzić – bez uzasadnienia. Natomiast w stosunku do gazet nie mają żadnego wytłumaczenia, żadnego, które by licowało ze zdrowym rozsądkiem ludzkim. (...)

(...) Po upływie kilkunastu dni rzecz przestała być rewelacją. Zarówno raport policyjny sekretarza Geheime Feldpolizei Vossa, jak bardzo sumienne sprawozdanie prof. Buhtza, ustaliły oficjalnie, że w siedmiu grobach znaleziono 4143 zwłoki. Tylko. (...)

Po powrocie z Katynia pytano mnie wiele razy o „wrażenia”. Naturalnie wrażenie jest takie, o którym się zwykło mówić, że „mrozi krew w żyłach”. Stosy trupów nagich budzą najczęściej odrazę. Stosy trupów w ubraniu raczej grozę. Może dlatego, że nici tych ubrań wiążą je jeszcze z życiem, którego je pozbawiono, a przez to stwarzają kontrast. W Katyniu znaleziono wyłącznie prawie wojskowych i to oficerów. Wymowność tego munduru robi wrażenie zwłaszcza na Polaku. Odznaki, guziki, pasy, orły, ordery. Nie są to trupy anonimowe. Tu leży armia. Można by zaryzykować określenie – kwiat armii, oficerowie bojowi, niektórzy z trzech uprzednio przewalczonych wojen. To jednak, co najbardziej nęka wyobraźnię, to indywidualność morderstwa, zwielokrotniona w tej potwornej masie. Bo to nie jest masowe zagazowanie, ani ścięcie seriami karabinów maszynowych, gdzie w ciągu minuty czy sekund przestają żyć setki. Tu przeciwnie, każdy umierał długie minuty, każdy zastrzelony był indywidualnie, każdy czekał swojej kolejki, każdy wleczony był nad brzeg grobu; tysiąc za tysiącem! – Być może w oczach skazańca układano w grobie poprzednio zastrzelonych towarzyszy, równo, w ciasne szeregi, może przydeptywano je nogami, ażeby mniej zajmowali miejsca. I tu doń strzelano w tył głowy. Każdy trup wydobywany w moich oczach po kolei, każdy z przestrzeloną czaszką, od potylicy do czoła, wprawną ręką, to kolejny eksponat straszliwego męczeństwa, strachu, rozpacz, tych wszystkich rzeczy przedśmiertnych, o których my, żywi, nic nie wiemy.

Rozmawiałem kiedyś z człowiekiem, któremu strzelono w tył czaszki i który żył jeszcze trzy dni, gdyż kula ugrzęzła gdzieś między zwojami. – „To było – wyszeptał – to było jakby szklanka pękła, dzyń! i koniec”. – Może...

Szarpiące, ekscytujące nerwy pytanie, jakaś drapieżna ciekawość, która później nie da spać przez wiele nocy, powraca z każdym, którego niosą: „Jak to wyglądało w szczegółach!”

Zdaje się, że każdego z jeńców uśmiercało trzech oprawców. Dwóch trzymało go z boków, za ręce, pod pachami. Trzeci strzelał. Jak przy operacji. – Indywidualność ostatnich odruchów i cierpienie da się nieraz odczytać z tego, co po nich zostało: wybite zęby, szczęką wytracona uderzeniem kolby, rany klute, sowieckim, trójgraniastym bagnetem. Wielu jest skrępowanych misternym węzłem sznura. Niektórzy mieli zarzucone na głowę mundury, lub płaszcze związane u szyi, a wewnątrz wypełnione trocinami, ażeby uniemożliwić krzyki. – Usta otwarte, usta pełne piasku i oczodoły puste, które nie wyrażają nic ponad śmierć.

Ale osobowość każdego nie wyraża się tylko mundurem, odznakami stopnia oficerskiego, czy krzyżem na piersiach, albo schowanym w kieszeni. Przemawia przede wszystkim wyrazem przedmiotów, które miał przy sobie do ostatniej chwili, a które jeszcze żyją, bo mówią literami, które można odczytać. Nazwisko za nazwiskiem... tysiące.

- Chce pan przeglądać tę listę? – zwraca się obojętnym tonem Niemiec, podsuwając długie kolumny maszynopisu.

Ciszewski Tadeusz... Tego znalazłem z Braclawszczyzny.

Anton Konstanty rtm... To mój kolega z jednej klasy gimnazjalnej. (...)

Listy, listy, listy. Listy do rodzin. Ogromna większość zachowana jeszcze w stanie możliwym do odczytania. Dużo jest takich, które przez jeńców zostały napisane w Kozielsku, ale już – nie wysłane. Przy zwłokach znaleziono około 1650 listów, 1640 kartek pocztowych i 80 depech. Ani jeden z tych listów, ani jedna kartka, ani depesza, nie posiada daty późniejszej niż – kwiecień 1940 roku!

Kto ich nie miał w ręku, wydobytych z dołów śmierci, z masy poklejonych trupów – ten może jeszcze dopatrywać się w mordzie katyńskim sprawy, którą dziś należy traktować w płaszczyźnie politycznej rozgrywki. Kto je czytał, zaciskając usta i nos chustką, kto wdychał ich słodkawą woń trupa, nad zwłokami „kochanego”, do którego były pisane, dla tego nie ma i nie może być względów innych, jak obowiązek rzucenia prawdy w oczy świata. Listy te były chowane na piersiach i w bocznej kieszeni, i w tylnej kieszeni, i w cholewach butów, zależnie od ówczesnej woli żyjącego jeszcze adresata. Chowane jak relikwie. Później wystawione na pokaz i profanację wrogiej niemieckiej propagandy. (...)

Raz jeden miałem takie prawdziwe łzy w oczach, tzn. nie od trupiego swądu i nie od zbawczego dymu ognisk, a tam właśnie, na werandzie domu w miejscowości Gruszczanka.

Było to trzeciego dnia pobytu. Wróciliśmy z Kozich Gór. Za czystym szkłem gablotki, nadpsute kartki, rozpięte pineskami, o wielkim, bardzo czytelnym piśmie: listy dzieci do ojców.

„8 stycznia 1940 r. – Tatusiu kochany!! najdroższy!.. Czemu nie wracasz” Mamusia mówi, że tymi kredkami, coś mi podarował na imieniny... Do szkoły teraz nie chodzę, bo zimno. Jak wrócisz, ucieszysz się pewno, że mamy nowego pieska. Mamusia nazwała go Filuś... Cześć”.

„12. II. 40. – Kochany Papo, pewno wojna się prędko skończy. Bardzo za Tobą tęsknimy wszyscy i strasznie Ciebie całujemy. Irka przycięła sobie włosy i Mama się bardzo gniewała. Czy mieszkasz w ciepłym domu, bo u nas brak opału. Mama chciała Tobie posłać ciepłe rękawiczki, ale... W kwietniu przejedziemy do wuja Adama i napiszę wtedy Tobie, jak tam wygląda...”

W kwietniu... w kwietniu 1940 Kochany Tatuś Czesia i Papo Irki zastrzeleni zostali wystrzałem w tył głowy z rozkazu Stalina.

To nie są rzeczy nowe, o których tu pisałem. Dziesiątki „miarodajnych” osób zna je doskonale. To są tylko rzeczy, których się nie publikuje, aby kogoś nie rozdrażnić, komuś innemu się nie narazić...

*„Lwów i Wilno” 1947 – nr 10 i 11*